

*Świąteczna kafejka*



Amanda  
**PROWSE**  
*Świąteczna kafejka*

Przełożyła  
ANNA SAUVIGNON



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Christmas Cafe*

Kompleksowe opracowanie redakcyjne oraz skład: Studio Editio

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce:

© Kamenetskiy Konstantin (Shutterstock.com)

© Boris-B (Shutterstock.com)

Copyright © Amanda Prowse, 2015

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,

an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Anna Sauvignon

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2016

ISBN 978-83-65506-88-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

## *Prolog*

Bea stała w świetle wczesnego wieczoru, a południowoaustralijski wiatr muskał jej twarz i rozwiewał długie, siwe włosy. O tej porze roku robiło się już przyjemnie i w mieście wyczuwało się atmosferę radosnego podekscytowania. Mieszkańcy Sydney z natury uwielbiali słońce i cieszyli się z każdej okazji, żeby wylec na dwór. Kobieta przez chwilę wpatrywała się przed siebie, w figurę dzika z brązu. Il Porcellino odwzajemnił jej spojrzenie, aż poruszyła palcami w kieszeniach fantazyjnej bluzy koloru trawy. Za jej plecami wzdłuż Macquarie Street ciągnął się strumień ludzi, którzy wracali z pracy z kurtkami pod pachą i podwiniętymi rękawami koszul, spiesząc do domu, żeby jeszcze skorzystać z wieczornego słońca – czy to podczas spaceru brzegiem plaży, czy przy kolacji w ogrodzie. Biurowi kole-dzy, już w radosnym, gwiazdkowym nastroju, maszerowali w grupach pod rękę, będąc znacznie bliźsi sobie dzięki roz-weselającym napojom niż jakimkolwiek szkoleniom inte-gracyjnym. Bea zazdrościła im tych zwykłych, codziennych spraw. Rozejrzawszy się dookoła, przemogła nieśmiałość, postąpiła krok naprzód i niepewnie pogłaskała błyszczący nos bestii z wielkimi kłami.

– Proszę – wyszeptła i na moment zamknęła oczy, po czym wrzuciła niewielką, okrągłą monetę z kwadratową dziurką do wody u stóp pomnika. Gdy ponownie podniosła głowę, westchnęła ciężko i objęła wzrokiem imponujące arkady i ozdoby, zielone balustrady z kutego żelaza, za którymi rozciągały się tarasy i ogrody. To był piękny budynek w mieście, które oboje kochali. Istniało wiele znacznie gorszych miejsc, gdzie jej mąż mógłby umrzeć.

– A, już pani wróciła. Poszła się pani przejść?

Miła pielęgniarka zgasiła górne jarzeniówki i pokój zatonął w łagodnym półmroku rozpraszanym jedynie słabym światłem lampki nad umywalką. Tak było najprzyjemniej – zacisznie i przytulnie.

– Właściwie to nie, wyszłam się tylko przewietrzyć. Ciepło dziś. – Bea wstrząsnęła sobie przód bluzy.

Pielęgniarka skinęła głową. Kończyła zmianę dopiero rano, więc pogoda na zewnątrz nie miała dla niej większego znaczenia. Zakrzywionym palcem ujęła nadgarstek Petera i przyłożyła mu dłoń do czoła, spoglądając życzliwie w jego zmętniałe oczy.

– Zaraz wracam, Peter – powiedziała.

Bea była bardzo wdzięczna za to, jak kulturalnie pielęgniarki odnosiły się do jej męża. Być może w ogóle ich nie słyszał ani nie rozumiał, ale, ku jej radości, one zachowywały się tak, jakby tak było.

Usiadła znowu na winylowym krześle nieopodal łóżka, ciągle w tym samym ubraniu, które nosiła przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny – wymiętym i poplamionym kawą i smugami tuszu do rzęs przeniesionymi przez zmęczone palce z zapłakanej twarzy.

– Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę tylko zadzwonić – przypomniała pielęgniarka, kierując się do drzwi.

Bea skinęła głową.

– Tak, dziękuję bardzo. Czy jemu niczego nie trzeba? Może podać lekarstwo?

Pielęgniarka uśmiechnęła się i odpowiedziała powoli i łagodnie, jakby mówiła do małego dziecka:

– Nie. Już wystarczy. Najlepiej, jeżeli pozwolimy działać naturze.

– Jak pani myśli, jak długo? – odezwała się Bea cicho i odwróciła wzrok, zawstydzona własnym pytaniem.

Pielęgniarka potrząsnęła głową i odparła tym samym serdecznym tonem:

– Naprawdę trudno powiedzieć. Czasami to może przebiec bardzo szybko, ale są ludzie, którzy potrafią opierać się nawet kilka dni. Niczego nie można przewidzieć, chociaż w przypadku Petera powiedziałabym, że to potrwa raczej krócej niż dłużej. Dobrze, że pani tu jest. – Zmrużyła oczy w uśmiechu i zamknęła za sobą drzwi.

Bea doceniała jej życzliwą szczerłość. Pochyliła się na krzesło do przodu i oparła łokcie na szczupłych kolanach.

– Słyszałeś, kochany? Dobrze, że tu jestem. Chociaż obojście wolałabym, żeby żadnego z nas tu nie było. Moglibyśmy na przykład żeglować sobie teraz gdzieś u brzegów Whitsunday, wsuwać świeżo złowione rybki i popijać dobrze schłodzone wino. Potem moglibyśmy uciąć sobie drzemkę w słońcu na pokładzie, a po przebudzeniu popluskąć się w morzu, wyjść na brzeg, usiąść na tym drobnutkim, białym piaseczku i patrzeć, jak mija dzień. – Na twarz wypłynął jej uśmiech. – Pamiętasz tamto Boże Narodzenie? Tylko ty i ja. Było cudownie, prawda? Najlepsze święta w całym moim życiu.

Wzięła do ręki dłoń męża i nachyliła się nad nim jeszcze niżej. Oczy zasnute miał mgłą, ale głowa poruszała się nieznacznie to w lewo, to w prawo, jakby szukał twarzy, której już nie mógł dostrzec.

– Wszystko w porządku, najdroższy, jestem tu. Nigdzie się nie wybieram.

Kącik ust drgnął mu prawie niezauważalnie. W półmroku spowijającym całe skrzydło szpitala Bei wydawało się, że posłał jej ostatni, pożegnalny uśmiech, ale może po prostu bardzo chciała w to wierzyć. Toczył ciężką walkę. Na skórze połykiwał mu niezdrowy pot, podczas gdy ciało broniło się przed nieuniknionym. W powietrzu unosił się mdły, nieprzyjemny

zapach, który Bea miała później poczuć jeszcze nieraz w niektórych odmianach kwiatów i w oddechu starych, schorowanych ludzi. Już zawsze kojarzył jej się potem z tą chwilą i z tą salą szpitala.

Pomyślała o scenach śmierci, które widywała często w kinie albo w teatrze – dramatyczne wyznania lub deklaracje miłości wyszeptane ostatnim tchem na tle narastającej muzyki skrzypcowej. To była oczywiście jedna wielka bujda. Bea już raz widziała umierającego człowieka po wypadku drogowym na rogu Elizabeth Street i Park Street. Nawet nie zdążył mrugnąć, a już go nie było. Peter natomiast walczył o każdą sekundę, jaka mu została, twardo i zaciekle do samego końca. Żałowała, że sceny w filmach nie były prawdziwe. Tak by chciała, żeby uniósł się teraz zaróżowiony z wysiłku, spojrzał jej prosto w oczy, położył jej dłoń na policzku i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że miał wspaniałe życie i że zawsze ją kochał. Co do tego ostatniego nie miała wątpliwości, ale na myśl, że nigdy już tych słów nie usłyszy, ogarniał ją niepomierny smutek.

Naraz wezbrała w niej gwałtowna fala miłości i wdzięczności do tego mężczyzny, który pokochał ją ponad wszystko i zaopiekował się nią, mimo że dla niej był dopiero na trzecim miejscu, po synu i wspomnieniu innego, któremu oddała serce dawno temu. Nawet teraz, już na sam koniec, odchodził bezgłośnie, jakby troszczył się przede wszystkim o nią i starał się jej sprawić jak najmniej kłopotu. Nie trzeba jej było skrzypiec.

– Miałam wielkie szczęście, że cię spotkałam, Peter. Jesteś wspaniałym człowiekiem, wspaniałym przyjacielem. Tak bardzo cię kocham, wiesz o tym, prawda? – Westchnęła. – Co ja mam teraz zrobić, najdroższy? Jak mam teraz żyć?

W głowie zadźwięczały jej wyraźnie jego słowa, jego maksyma życiowa, którą powtarzał jak mantrę: „Nigdy nie zapominaj,



że życie jest wyłącznie dla odważnych. Mamy tylko tę jedną jedyną szansę do wykorzystania!”.

– Wiem... – Pokiwała głową, a liczne bransoletki na jej przedramieniu zakołysały się, przecinając ciszę metalicznym brzękiem. Ścisnęła go za rękę z nadzieją, że odpowie tym samym.

– Och, kochanie, jakie masz zimne ręce. – Pochyliła się i pocałowała go w nos, także chłodny w dotyku, chociaż ciało nadal produkowało ciepło. Jakby energia z jego centralnego pieca już nie docierała do najdalszych członków.

Peter przekręcił minimalnie głowę i z najwyższym wysiłkiem podniósł rękę, skupiony na czymś na prawo od jej głowy. Jego wychudzone nogi także zwróciły się w bok, jakby gdzieś się wybierał ze swego łoża śmierci.

– Dokąd idziesz? – Rozpłakała się, bo wiedziała, że tam, dokąd zmierza, nie może jej zabrać ze sobą. – Idź, mój kochany. Idź tam, dokąd musisz. Wszystko w porządku. Po prostu zaśnij i pamiętaj, że bardzo cię kocham.

Peter opadł na płaską poduszkę i oddychał ciężko, a potem poruszył ustami, jakby chcąc coś powiedzieć. Nachyliła się nisko i, z uchem przy jego wargach, pochwyciła jego ostatni, ledwie słyszalny szept.

– Było wspaniale.

– Tak, Peter. Było absolutnie wspaniale.

Odstępy między jednym a drugim świszczącym oddechem stawały się coraz dłuższe, aż w końcu zupełnie się pochłonęły.

Bea czekała ze wzrokiem utkwionym w jego woskową skórę u nasady szyi z nadzieją, że dostrzeże tam jeszcze jakiś ruch – znak, że nadal jest przy niej, że to jeszcze nie koniec. Ale nic już nie drgnęło.

Powiedziano jej, że kiedy przyjdzie czas albo gdyby czegoś potrzebowała, ma wezwać pielęgniarkę. Ale zamiast tego

siedziała nieruchomo, trzymając go za rękę, z drugą dłonią wciśniętą w zgięcie jego łokcia, gdzie utrzymywało się jeszcze trochę ciepła. Chciała tak zostać, dopóki całkiem się nie rozproszy, niczym matka, która układając dziecko do snu, wyczekuje na odpowiedni moment, żeby wymknąć się cicho z pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Było już grubo po północy, gdy wreszcie odeszła od łóżka ukochanego i cicho zamknęła drzwi, zostawiając za sobą blisko trzydzieści lat małżeństwa.

W szpitalnej stołówce panowała cisza przerywana od czasu do czasu przez jakiegoś lekarza w pogniecionym fartuchu i z podkrążonymi oczami. Pozdrawiali ją dyskretnym skinieniem głowy, wiedząc, że nikt nie przesiaduje tu samotnie nad kubkiem parującej, mdłej kawy z automatu w wesołych okolicznościach. Była wdzięczna za to, że dawali jej spokój. Chciała być sama z myślami, które stopniowo krystalizowały się w jej głowie. Jego ostatnie minuty zapadały jej w pamięci, żeby łatwo było je przywołać później, w trudnych chwilach.

Omiotła wzrokiem ściany stołówki, która stała się jej schronieniem w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Ukrywała się tu co godzinę, kiedy w sali pojawiały się pielęgniarki, żeby „doprowadzić go do porządku”. Dawała im dziesięć minut na czynności, przy których wołała nie asystować – bynajmniej nie ze względu na siebie, ale na Petera. Dziwnie było pomyśleć, że teraz ktoś inny będzie siedział na tym plastikowym krześle w środku nocy, próbując nie popaść w kompletne odrętwienie. Kobiety takie jak ona będą przechodzić dokładnie przez to samo: przeglądać ulotki dostawców włoskich kanapek, wybierać czekoladowe batony z automatu i przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Zrobiło jej się ich żal, bo nie wiedziały, jak straszne chwile mają przed sobą.

– Tu jesteś! – Wyrwał ją z rozmyślań głos Wyattta. Miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem, której rozpięty kołnierz odsłaniał nieco zbyt dużo ciała, a ze zgniłozielonych spodenek sterczały mu żdzbla trawy. Wyglądał, jakby właśnie wracał z ogrodu. Sprawiał wrażenie lekko poirytowanego, zarówno tonem głosu, jak i całą postawą dając do zrozumienia, że nie w smak mu takie podchody, jakby Bea rozmyślnie się przed nim ukrywała.

– Nawet o tej porze nie można zaparkować. Mamy rok 2013, umiemy wysłać wahadłowiec w kosmos i zmieścić w cyfrowym znaczkowi więcej danych niż w całej Bibliotece Narodowej, ale nie potrafimy wymyślić sposobu, żeby dało się wjechać na zamknięty parking po godzinach. Pokręcony system. – Mówiąc to, podrzucał w ręce kluczyki, dopóki nie ułożyły mu się dobrze w zagłębieniu dłoni.

Bea kiwnęła głową. To prawda. Pokręcony.

– Jak on się czuje? – Wyatt wziął się pod boki, znów jakby o coś na nią zły.

Spojrzała na niego i przesunęła sobie bransoletki na przedramieniu.

– Nie żyje, Wyatt. Umarł kilka godzin temu. – Po raz pierwszy powiedziała to na głos. – Wszystko to stało się bardzo spokojnie. Tak po prostu zasnął. Trzymałam go za rękę. Próbował sięgnąć gdzieś poza mną, jakby chciał dokądś iść. Powiedziałam mu, że może iść. Jakbym dawała mu pozwolenie, żeby mnie zostawił. I odszedł. – Uśmiechnęła się blade.

– Och, mamoo – rzekł Wyatt bezbarwnie.

Nie wiedziała, co to miało znaczyć. *Och, mamoo, tak mi przykro czy Szkoda, że nie zdążyłem wcześniej, czy Mamoo, proszę, nie dramatyzuj.* Trudno było powiedzieć. Wyatt nie należał do wylewnych osób, odznaczał się raczej zmysłem praktycznym. Z pewnością wolałby porozmawiać o organizacji

pogrzebu i kwestiach finansowych – sprawach, w których umiał się odnaleźć – niż o tym, co ona czuła. To go prze-  
rażało.

– Nie wiedziałam, co robić, więc zadzwoniłam do ciebie. –  
Poczuła się niezręcznie, że musi przeproszać za kłopot.

– No pewnie. – Kiwnął głową. – Jak tylko będziesz gotowa,  
zawiozę cię do domu. – Na ułamek sekundy położył jej dłoń  
na ramieniu, ale zaraz ją cofnął.

Odniosła wrażenie, że dotyk jego palców wypalił jej ślad  
na skórze. Ugryzła się w język, żeby nie wytknąć mu, że  
ani choroby nie są zaraźliwe, ani tym bardziej ból serca nie  
jest zaraźliwy, więc nie musi obawiać się żadnego z nich.  
Poczuła jednocześnie żal i ulgę. Z jednej strony miło było-  
by, gdyby przytulił ją w serdecznym uścisku, ale z drugiej  
mogłoby to być nieznośnie krępujące, bo za bardzo już od  
tego odwykli.

Dwadzieścia minut później wielki, błyszczący holden storm  
Wyatta o miłym, skórzanym wnętrzu i skomplikowanej desce  
rozdzielczej jak z promu kosmicznego sunął pod górę Elizabeth  
Street, by następnie skręcić w Reservoir Street, w samym sercu  
zasobnej dzielnicy Surry Hills. Ani na jednej, ani na drugiej  
ulicy nie było żywej duszy. Światła samochodu omiały ścia-  
ny mijanych domów i Bea skrzywiła się na myśl, że pewnie  
obudzili co niektórych mieszkańców.

Wyatt zaparkował przy krawężniku i odwrócił się w kie-  
runku matki.

– Na pewno nie chcesz, żebym wszedł z tobą na górę? – To,  
że nie rozpiął pasa i nie zgasił silnika, było dla niej wystar-  
czającym sygnałem.

– Nie, nie trzeba, Wyatt, wszystko w porządku. Wracaj do  
Sarah i Flory. I dziękuję, że przyjechałeś po mnie taki kawał  
drogi o tej porze.

– Na pewno?

– Oczywiście. Do Manly czeka cię dobre pół godziny drogi. Zbieraj się, kochanie.

Widocznie się odprężył i Bea uprzytomniła sobie, że ona też wolałaby nie znaleźć się na wprost niego nad kubkiem herbaty, rozmawiając o niczym i zmagając się z chwilami krępującej ciszy.

Weszła po schodach i przekręciła klucz w zamku. Mieszkanie było ciemne i ciche. W ciągu tych ostatnich dziesięciu dni pobytu Petera w szpitalu wpadła tu dwa razy wziąć prysznic i zmienić ubranie. Mimo to dzisiaj pokoje zdawały się bardziej opustoszałe niż wcześniej, jakby nawet ściany czuły, że on już nie wróci. Opadła na kanapę i znieruchomiała w ciemności, znajdując ulgę w ciszy i spokoju późnych nocnych godzin.

Na podłodze w łazience stały równo ułożone tenisówki Petera. W koszu na brudną bieliznę wciąż była jego pizama, a na szafce przy łóżku po jego stronie leżały dwie kupki jego książek. Jeden stos zawierał książki do przeczytania, a drugi te najukochańsze, które lubił mieć zawsze pod ręką. Była tam między innymi *Księga dżungli* Rudyarda Kiplinga, którą uwielbiał od czasów młodości. Myśli Bei uleciały w przeszłość, do innej książki Kiplinga, innego mężczyzny i innego życia. Wysokiego mężczyzny w zielonym szaliku, który swoją dłonią wyznaczył rytm jej serca. Upłynęły trzydzieści cztery lata, a ona wciąż pamiętała, jakby to było wczoraj.

Sięgnęła po zieloną, jedwabną poduszeczkę i przycisnęła do piersi, przesuając wzrokiem po rzeczach Petera, teraz nagle zupełnie niepotrzebnych, jak okulary leżące na futerale na stoliku do kawy. Wydało jej się dziwne, że te niewinne przedmioty nabrały ni stąd, ni zowąd tak symbolicznego znaczenia i że zwykłych rzeczy codziennego użytku stały się cennymi talizmanami. Ogarnęła ją przemożna fala żalu i zmęczenia

i rozplakała się rozpaczliwie. Nie płakała jedynie nad tym absolutnie cudownym człowiekiem, którego utraciła, ale też nad prawdziwą, bezwarunkową miłością, której nigdy nie była w stanie mu ofiarować.

– Przepraszam cię, Peter. Strasznie cię przepraszam.

## *Jeden*

**B**ea niespiesznie otworzyła jedno oko i wyjrzała znad poduszki na nowy dzień. W świadomości unosiły się jeszcze pozostałości snu, który przeniósł ją w przeszłość na wysoki, rozłożysty jacht z sykiem prująco fale przy głuchych dźwiękach bębna. Powróciło wspomnienie wrzenia młodego ciała spragnionego dotyku wybranego mężczyzny, tańca na chyboliwym pokładzie pod rozgwieżdżonym niebem, miękkości jego bawełnianej koszuli pod palcami i oczu zapatrzonych w nią, pochłaniających ją. I jego głos, głęboki i zdecydowany, słowa dźwięczące czysto w łagodnym ciepłe letniego wieczoru przy akompaniamencie jazgoczących cykad i z czarnymi nietoperzami furkoczącymi nad głową. „Chciałbym cię stąd zabrać. Chciałbym znaleźć dom, w którym mógłbym cię kochać otwarcie i bez wyrzutów sumienia. Chciałbym się z tobą ożenić tu i teraz. Nigdy cię nie zapomnę. Będiesz przy mnie zawsze, tu, głęboko w środku...”. Przyłożył sobie dwa palce do piersi i postukał, naśladując rytm uderzeń serca.

Westchnęła. Słońce wpadało do pokoju przez otwarte okno, rzucając na nagą podłogę kolczasty cień obsypanej kwiatami hoherii. Odruchowo sięgnęła na drugą stronę łóżka. Trudno było uwierzyć, że minął już rok, odkąd pozwoliła Peterowi odejść w tamtej mrocznej szpitalnej sali. Wprawdzie ból zaczynał już stopniowo słabnąć, ale cały czas zaskakiwały ją takie chwile jak ta, kiedy wyciągała rękę i nie znajdowała go obok w niebieskiej, pasiastej piżamie albo gdy miała ochotę zadzwonić do niego z czymś ważnym.

Zerknęła na miejsce Petera ze skruczą. Nawet po tylu latach ten sen wciąż tak samo wytrącał ją z równowagi. Wystarczyło proste wspomnienie, jakaś scenka lub jedno słowo, żeby

wracała do czasu na długo przed poznaniem Petera, czasu, zanim jej świat się zawalił. A potem, chwała Bogu, pojawił się on i uratował ją swoją dobrocią.

Odrzuciła chłodną, bawełnianą kołdrę i spuściła stopy na parkiet. Fałdy jedwabnej piżamy ześlizgnęły się gładko wzdłuż nóg, a rozkloszowane rękawy opadły równo po bokach. Kremowy materiał ładnie kontrastował z pokrytą jasnymi przebarwieniami skórą jej dłoni. Nie zakładając oryginalnego kimono z jedwabiu, którego używała jako szlafroka, stanęła przed wielkim lustrem, wyciągnęła ręce nad głowę i gwałtownie skręciła ją w bok, aż rozległo się znajome chrupnięcie. Następnie złączyła dłonie, pochyliła się nad podłogą i zawisała bez ruchu, dopóki jej plecy nie rozprostowały się tak samo jak wcześniej piżama. To była jej rutynowa seria ćwiczeń, od których rozpoczynała każdy dzień.

Podniosła rolety i wstrzymała oddech. Za każdym razem, gdy spoglądała z okna na Reservoir Street, tak odmiennej od tamtej zapyziałej kawalerki w Kings Cross, w której przez sześć lat mieszkali z Wyattem, doznawała uczucia niezmiernej radości i ulgi. Mimo że od tamtej pory minęło już kilkadziesiąt lat, nadal czuła mrowienie na skórze na myśl o tym ciasnym, zatęchłym pokoiku. Z uśmiechem powiodła wzrokiem w dół stromej ulicy, po obu stronach której ciągnęły się szeregi pastelowych wiktoriańskich domów z pięknymi balkonami o kunsztownie wykutych, żelaznych balustradach. Po przeciwnej stronie piął się pod górę biegacz ze słuchawkami w uszach. Na jej widok uniósł rękę w geście pozdrowienia. Zabawne, jaka się stała popularna dzięki kawiarence.

Westchnęła. To był rozkoszny poranek, pełen obietnicy lata i – pomimo nieodstępującej jej na krok zmory samotności – było coś magicznego w tym bezruchu panującym dookoła, zanim jeszcze rozpoczął się zgiełk dnia codziennego. Zawsze wstawała wcześniej, co okazało się wyjątkowo praktyczne



w Kuchni Reservoir Street. O świcie, jeszcze zanim pojawili się Kim i Tait, u niej już paliło się światło, piece były nagrzane i gotowe, czajniki pełne wrzątku, chleb przygotowany, a dostawy posortowane i poukładane na swoich miejscach.

Bea jeszcze raz popatrzyła z czułością na wgniecenie materaca po stronie Petera. Miała nadzieję, że nigdy nie wróci do pierwotnego kształtu. W ten sposób mogła udawać sama przed sobą, że on niedawno wstał i albo popija kawę gdzieś w The Rocks, albo poszedł po poranną gazetę. Było jej jakoś łatwiej wyobrażać sobie, że lada chwila wróci.

Gdzieś w sąsiedztwie pomrukiwało radio 2GB i charakterystyczny głos Alana Jonesa wypełnił pokój wiadomościami ze świata. To wystarczyło, żeby odzyskała równowagę i pogodny nastrój. Wyatt i Sarah nadal nie dawali znaku życia w kwestii świąt i to poczucie zawieszenia i zależności od ich widzimisię zaczynało ją powoli irytować. Próbowала zachować spokój i nie skarżyć się, że odwiedzali ją lub dzwoniли najwyżej raz w miesiącu, ale tak naprawdę miała do nich żal, szczególnie, że te niezdrowo luźne relacje trzymały ją z daleka od Flory, energicznej trzynastolatki, którą Bea ubóstwiała ponad wszystko. W ostatnich latach w każde urodziny Flory starała się być w Manly dwadzieścia minut przed czasem, żeby móc spędzić kilka chwil sam na sam z wnuczką przed nadejściem pozostałych gości. I co roku na Boże Narodzenie, po grillowej uczcie przygotowanej przez Sarah, siadały we dwie na piasku i gawędziły. Bea pytała Florę, jakie zespoły są teraz „na topie”, a Flora podśmiewała się, że udaje spróchniałą babunię, chociaż w tym roku Bea skończyła dopiero pięćdziesiąt trzy lata. Trudno tu mówić o bliskiej zażyłości, ale Bea próbowała zrozumieć, że wszyscy byli w ciągłym biegu i cieszyła się nawet z tak sporadycznego kontaktu.

Zrobiła sobie kubek earl greya z grubym plasterkiem cytryny i stanęła w otwartym oknie balkonowym z balustradą,

spoglądając na budzące się Sydney. Czyste, intensywnie błękitne niebo przypomniało jej podobnie cudowny, letni dzień rok temu, kiedy takie niebo w pewien sposób podziało na nią kojąco. To było w tydzień po śmierci Petera. Siedziała na kanapie w szykownej, purpurowej sukni, zamknięta i niedostępna jak królowa pszczoł wśród roju odwiedzających. Stanowiła główną atrakcję i, trochę jak na ślubie, wszyscy zabiegali o to, żeby z nią porozmawiać. Sztuka polegała jednak na tym, żeby jej jednocześnie nie przytłoczyć i nie zagadać. Na pogrzebie obowiązywały krótkie, sztampowe formułki. „Najszczęsże kondolencje...”, „Wola opatrności...”, „Dobrze, że już nie cierpi...”, „To był wspaniały człowiek...”. Wyrazy współczucia były w zasadzie identyczne zarówno pod względem treści, jak i sposobu ich komunikowania – z głową przechyloną na bok i zbolalym wyrazem twarzy, nigdy głośniejszą niż nieco ponad szept.

Jedyną osobą, która wniosła pewien powiew świeżości w ten ponury spektakl, była Flora, uroczo nieświadoma tego, że nie jest to po prostu przyjęcie towarzyskie i nie wypada śpiewać, śmiać się na cały głos i rzucać jedzenia małemu koralicowcowi<sup>1</sup>, który akurat zagościł na drzewie pod balkonem. Bea widziała, jak jej syn, Wyatt, gromi córkę spojrzeniem z drugiego końca pokoju, co w sumie zdawało się gorsze, niż gdyby zwyczajnie zwrócił jej uwagę. Wtedy właśnie Bea uświadomiła sobie, że Flora zawsze taka była – jakoś dziwnie obok tego, czego się w danej sytuacji po niej spodziewano. Prawdę mówiąc, Bei podobało się takie podejście – pogrzeb powinien być uhonorowaniem życia zmarłego. Stypa Petera odbyła się w nastroju stanowczo przesadnej powagi, a dyskretny brzęk naczyń i stłumiony szmer rozmów zalegały ciężko w powietrzu. Długą chwilę przyglądała się siostrze i bratu Petera,

---

<sup>1</sup> Szaro-brązowy ptak o charakterystycznych czerwonych koralikach po obu stronach szyi (przyp. red.).

którzy rozmawiali półgłosem w przerwach pomiędzy kolejnymi łykami wina, zakrywając sobie usta rękami, unosząc brwi i potrząsając konspiracyjnie głowami w sposób, który zdawał się wykluczać i lekceważyć wszystkich dookoła.

Nie było tajemnicą, że jej nie lubili i, szczerze powiedziawszy, ona też nie darzyła ich wielką sympatią. Nadal pamiętała, z jakim chłodem potraktowali ją przy pierwszym spotkaniu dawno temu. Nigdy nie doszło między nimi do otwartych wyjaśnień, dlatego odnosili się do niej z taką niechęcią, ale Bea podejrzewała, że w ich oczach nie była dla Petera dość dobra. Była jego pierwszą żoną i to znacznie od niego młodszą, więc fakt, że ich czterdziestosiedmioletni brat związał się z dwudziestopięciolatką zapewne dodatkowo ich raził. Pojawiła się znikąd z małym dzieckiem pod pachą, ale bynajmniej nie z chlubną przeszłością – ani nie owdowiała tragicznie w młodości, ani nie zaopiekowała się niczym podrzutkiem. Była panną z odzysku, wybrakowanym towarem. A teraz, kiedy Peter spoczął cicho w nasłonecznionej części cmentarza South Head nad Morzem Tasmana, ich dawna niechęć przerodziła się wręcz we wrogość, ponieważ – to Bea wiedziała – majątek Petera przechodził teraz na nią, bajerantkę! Nie żeby to były znowu aż takie kokosy, ale z pewnością wystarczy jej na bezpieczne i wygodne życie. Jeszcze jeden powód, dla którego winna była wdzięczność swojemu wspaniałemu mężowi.

Rozejrzała się po pokoju z przekonaniem, że dawna Bea nie miałaby problemu, żeby pogonić całe to towarzystwo: *Wiecie co? Prawdę mówiąc, to chcę zostać sama, a w ogóle to Peter połowy z was nie znosił. Proszę więc udać się do najbliższego wyjścia i wracać do siebie, a ja będę pić wino i tańczyć na bosaka aż do upadłego.* Ale nie była już tą Beą z przeszłości. Miała ponad pięćdziesiąt lat i zdążyła się już nauczyć, że czasem lepiej uznać zasadę, że milczenie jest złotem. Tylko dzięki niej udało jej się przetrwać następną godzinę dalszych komunałów

o tym, jak to czas zabliźni wszelkie rany. Wiedziała już z własnego doświadczenia, że tak nie jest. Upłynęło trzydzieści pięć lat, a jej cały czas łomotało w skroniach na myśl o tym, jak rozdzierająco czepiała się ukochanego, błagając i zaklinając, żeby jej nie zostawiał. Czas nie zagoił żadnej z tych ran, jedynie zasklepił je strupem, który po prostu na tyle złagodził ból, że dało się z nim żyć.

Potrząsnęła głową, chcąc się uwolnić od wspomnień. Zrobiła kilka kroków w kierunku kanapy i podniosła do ust kubek cytrynowej herbaty. Na jej lewej ręce rozległ się znajomy brzęk dwunastu przypadkowo ułożonych bransoletek. Każdą z nich dostała od Petera z okazji urodzin albo rocznicy ślubu i na każdej, po wewnętrznej stronie, wygrawerowane było miłosne wyznanie lub jakiś zabawny tekścik. Napis na tej, którą podarował jej na pięćdziesiąte urodziny, głosił: „Gratulacje! Właśnie oficjalnie dołączyłaś do grona Starych Pierników. Witamy w klubie!”.

Uśmiechnęła się na wspomnienie jego uroczego poczucia humoru i po raz kolejny ogarnął ją żal, że nie była zdolna dać mu takiej miłości jak ta, którą on ją obdarzył. Była z nim szczęśliwa. Był dobrym ojcem dla Wyatta i bardzo jej pomógł przy otwarciu Kuchni Reservoir Street, która stała się przedmiotem jej największej dumy i radości. Ale bez względu na to, jak bardzo by chciała, nie mogła wykrzesać dla niego więcej uczucia niż tylko blade odbicie tego, co czuła do tamtego pierwszego, kiedy, trzymając się za ręce, sunęli przez pokład statku przy pełni księżyca. Serce jej buzowało, stopy wystukiwały rytm i niczego wtedy tak bardzo nie pragnęła, jak tego, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Bea pogłaskała zieloną poduszeczkę, pozwalając palcom wolnej ręki błędzić machinalnie po jedwabnej tkaninie.

Wzięła prysznic i wysuszyła gęste, siwe włosy, których puszyste fale upięła następnie w luźny węzeł. Umalowała usta

karminową pomadką w płynie i starannie wytuszowała swoje długie rzęsy. Włożyła tunikę bez rękawów i oliwkowe rybaczki, a wokół szyi omotała sobie trzy sznury grubych koralików z kości słoniowej, jeszcze raz rozmyślając o tym, jak wielkie miała szczęście. Gdyby nie Peter, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Na koniec wsunęła na stopy soczyście błękitne converse'y i odegnała wspomnienie wcześniejszego snu gdzieś na tył głowy.

Ruszyła w stronę drzwi, żeby zejść na dół i otworzyć kawiarnię, ale po drodze przystanęła na wprost zdjęcia wiszącego na ścianie i w pogodnym świetle poranka wypowiedziała te same słowa, co przez ostatnich trzysta sześćdziesiąt cztery dni co rano:

– Przepraszam cię, Peter. Przepraszam.